

Nr. 11. Nowemiasto, dnia 18 marca 1926. Rok III.

Franciszek Morawski.

Brzoza Gryżyńska.

Wznosi się w gruzach na Gryżyńskiej ziemi
Kościół świętego Marcina,
Głośnie on niegdyś hymny brzmiał boskiemi,
Dziś głucha w polu ruina.
Mnóstwo tam grobów i mogił dokoła
Liczne kryje pokolenia,
A biała brzoza, jak skrzydłem anioła,
Cichy sen zmarłych ocienia.
Jeśli to drzewo, pierwszy wieniec wiosny,
Ciekawość twoją obudzi;
Zkąd polubiła ten pobyt żałosny,
Gryżyńskich spytaj się ludzi.
Onego czasu, któż wie, lat wiele?
W prostym ci rzekną sposobie,
Zmarło tu dziecię i przy tym kościele
W zimnym złożono je grobie.
Cicho, cichutko w swej mogile leżał
Antoś, matczyna nadzieja,
Kiedy wtem kopacz do księdza przybieżał,
I tak strwożył dobrodzieja:
„Jakieś nam licho na cmentarz się wdarło,
Próżno człek strzeże i czuwa,
Dziecię, co właśnie przed tygodniem zmarło,
Wciąż rączkę z grobu wysuwa“.
Dziwi się pasterz, krzyż i stułę bierze,
Biegnie na miejsce zjawiska,
I trzykroć żegna i zmawia pacierze,
I sam rączkę w ziemię wciska.
Wznosi się sercem, duszą w niebo wznosi,
Przy drobnej klęczy mogile,
Ale daremnie i błaga i prosi,
Widmo powraca co chwilę.
Dzwoni więc pleban, całą wioskę woła,
Młodzież i starce i dziatki,
A kiedy wszyscy już staną do koła,
Tak się odzywa do matki:
„Co w syna twego dzieje się tu grobie,
Ja ludzką myślą nie schwycę,
Samej to tylko wiadomem jest tobie,
A więc wyjaw tajemnicę“.
Wzbrania się matka i zalewa łzami,
I ręce łamie z rozpaczy,
Gdy wtem strasznemi zaklęta słowami
Tak się wśród jęku tłómaczy:
„Kara to mojej matczynej ślepoty,
Bóg mi złem za złe odmierzył;
Synek ten memi popsuty pieszczoty
„Raz mię w swym gniewie uderzył“.
Bierz więc tę rózgę i chłoszcz rękę syna,
Tak pasterz na nią zakrzyknął,
„Ziemskiej on się tu kary dopomina,
Aby wieczystej uniknął“.
Uderz! zawoła — silnem ramieniem.
Matka do grobu ciągniona,
Odwraca oczy i z ciężkiem westchnieniem
Okropnej kary dokona...
I patrz! zaledwie różdżkę puszcza z dłoni
I pada, jakby nieżywa,
Sama się rączka w grób swój wraca, chroni,
I znów ją ziemia pokrywa.
I wszystkie serca zimny przestrach ściska,
Śmiertelnym dreszczem przenika,
A ksiądz na pamięć strasznego zjawiska
Różdżkę na grobie zatyka.
I drugim cudem, w pierwszej zaraz wiośnie,
Gęsty liść ją ozielenia,
Coraz się wyżej i wzmaga i rośnie,
W rozległe drzewo zamienia.
Runął kościołek i niejedne czasy,
Niejedna przeszła nawała,
Walą się dęby, całe walą lasy,
A brzoza stoi, jak stała.
I wciąż liczniejsze przychodzą tam dzieci,
Patrzą nań w strachu i grozie,
I coraz dalej i słynie i leci
Powieść o Gryżyńskiej brzozie.

W niewoli małpy-olbrzyma.

Wielu podróżników i myśliwych nadal przyjmuje z wielkiem niedowierzaniem wszelkie opowiadania o porywaniu ludzi przez pewne gatunki większych małp, uważając owe historje za wytwór bujnej fantazji autorów. Jednak takie wypadki dzieją się od czasu do czasu a ostatnio Sumatra była widownią podobnego niezwykłego zajścia.

Od dłuższego czasu przebywa na tej wyspie kilka poważniejszych przedsiębiorstw zagranicznych, które eksploatują na dużą skalę dziewicze lasy, ciągnące się dwoma szerokiemi pasami z południa ku północnemu wschodowi. Przy robotach zajęci są przeważnie krajowcy, jako bardziej odporni w porównaniu do cudzoziemców, na wszelkie dolegliwości kapryśnego klimatu. Obok stałych najemników pracują również skazańcy, przeznaczeni do przymusowych robót, tak zwani „Wongsokario". Zmieniają się oni co jakiś czas partjami, przybywając niekiedy z bardzo odległych stron pod dozorem strażników.

Właśnie jeden z takich transportów udał się ostatnio na wskazane miejsce, celem trzebienia nietkniętej jeszcze połaci lasu, oddalonej o kilka kilometrów od głównego obozu. Robotnicy wyruszyli o świcie zaopatrzeni w żywność i wszelkie przybory techniczne a czwartego dnia jeden ze skazańców nie wrócił więcej z gąszczów i mimo kilkakrotnych poszukiwań nie udało się nikomu z ekspedycji odnaleźć żadnego śladu po zaginionym. Jedni przypuszczali, że zaszedł nieszczęśliwy wypadek; drudzy — posądzali go o ucieczkę, wróżąc nieuniknioną śmierć w dzikiej okolicy. Tymczasem w miesiąc później inna partja skazańców napotkało w gąszczach jakąś istotę w nader opłakanym stanie i dającą słabe oznaki życia. Poczęto natychmiast cucić tę tajemniczą postać, która, posiliwszy się nieco, odzyskała na krótko przytomność, by zapaść niebawem w kamienny sen, co początkowo uważano nawet za ponowne omdlenie. Jak się później okazało, był to właśnie ów zaginiony skazaniec. Po kilkunastu godzinach snu obudził się on, wodząc dokoła zdziwionym wzrokiem. Ciężko zrazu było wydobyć cokolwiek z niego, gdyż na zadawane pytania odpowiadał z widocznem przerażeniem, malującem się na całej twarzy.

W międzyczasie opodal miejsca, gdzie znaleziono leżącego bez sił człowieka, zabito tego samego dnia olbrzymiego orangutana, samicę, która węszyła z widocznem zaniepokojeniem, idąc śladami skazańca, a gdy te się skończyły — zaczęła ubiegać w różnych kierunkach, wydając przeraźliwe ryki. Wreszcie rozjuszony zwierz zamierzał rzucić się na robotników, gdy celny strzał dozorcy powalił go na ziemię.

Skazaniec, przyszedłszy nieco do siebie po tym epizodzie, zeznał, że krytycznego dnia, ukończywszy pracę, zamierzał — jak zwykle — opuścić stanowisko w lesie; po kilku jednak krokach otrzymał raptem silny cios w głowę i stracił natychmiast przytomność, a ocknął się po pewnym czasie ku swemu strasznemu przerażeniu na olbrzymiem drzewie obok dużej małpy, która nie spuszczała z niego oka ani na chwilę, bacznie obserwując każdy ruch; nie mógł zatem zupełnie myśleć o ucieczce. Ochłonąwszy nieco, zauważył, że spojrzenie zwierzęcia nie było groźne, a nawet przeciwnie — miał wrażenie, iż małpa przyglądała mu się z pewnym wyrazem ciekawości i tkliwości. Była to samica olbrzymich rozmiarów, połyskująca od czasu do czasu ostremi kłami, które napawały go strachem. Nadto dolegały mu okrutne rany, pokrywające nieomal ciało, a pochodzące niewątpliwie od bolesnych zadrapań, uderzeń i omdleń, zadanych przy przedzieraniu się przez gąszcze. Po kilku godzinach podał mu orangutan orzech kokosowy, rozłupany na dwie części którego mleko skazaniec wypił z wielkim apetytem. Odtąd było to jedyne jego pożywienie, dostarczane przez „troskliwą" opiekunkę, nie pozwalała mu ona jednak zupełnie zejść z drzewa, udaremniając wszelkie próby.

W takiej to niewoli przebył cały miesiąc, nadaremnie oczekując każdego dnia okazji wybawienia. Pierwsze dnie spędził w nieustannej obawie o życie, gdyż zdawało się, że zwierz lada chwila może rzucić się na niego i najmniejszy ruch małpy przejmował go przerażeniem, przyczem mimowoli zasłaniał się rękami. Jednak orangutan nie zrobił mu żadnej przykrości, a troskliwość wzrastała nieomal z każdym dniem. Tymczasem więźnia zaczęły coraz bardziej opuszczać siły, gdyż o „wysypianiu się" na gałęzi nie mogło być naturalnie nawet mowy. Skoro więc przeminął pierwszy strach i jeniec pomału oswoił się ze swoim losem — zaczął stale przemyśliwać o ucieczce, zbierając skrzętnie włókna z orzechów kokosowych, czemu z nadzwyczajnem zainteresowaniem przyglądała się małpa; wkrótce udało mu się skręcić dosyć długą linkę, którą owijał na około siebie, aby nie wzbudzić podejrzenia. Tak z każdym dniem przybywało więcej sznura, przedstawiającego dla skazańca nadzwyczajną wartość; wreszcie pewnej upalnej nocy, kiedy zwierz mocno zasnął, jeniec spuścił się niepostrzeżenie na ziemię, i goniąc resztkami sił, dowlókł się do miejsca, gdzie go znaleziono.

Kto żyje z plonu dawniejszych lat,
Przeżuwa przodków dostatki...
Temu dowództwo odbierze świat,
A mienie — wydrą wypadki.
Do tych należy jutrzejszy dzień,
Co nowych łakną zdobyczy;
Kto się usuwa w ciszę i cień,
Ten się do żywych nie liczy.

Adam Asnyk.

Rozmaitości.

Stuletnia rocznica kołnierzyka.

W ubiegłym roku obchodzono uroczyście szereg rocznic wszelakich odkryć i wynalazków, lecz była jedna, która przeszła omal zapomniana przez publiczność — stuletnia rocznica powstania pierwszego kołnierzyka... W 1825 roku, w małej mieścinie angielskiej, pewna gosposia, żona kowala, doszła do wniosku, iż niema racji prania całej koszuli, gdy tylko kołnierz jest zabrudzony, natomiast wstręt wzbudza noszenie brudnego kołnierzyka, choć koszula jest jeszcze czysta. Postanowiła więc dokonać cięcia nader śmiałego — oddzielić koszulę od kołnierza. Okoliczne gosposie poszły wszystkie za przykładem pani kowalowej. Przypadek zrządził, iż pewien bogaty i ruchliwy przemysłowiec londyński, mister Brown, dowiedział się o tej nowości, ocenił w lot praktyczną wartość pomysłu i począł wprowadzać w Londynie nową modę noszenia przypinanych kołnierzy. Niema oczywiście potrzeby dodawać, iż nie podzielił się on osiągniętym zyskiem z autorką dowcipnego pomysłu, który wkrótce został przyjęty na całym świecie!

W NIEWOLI TATARSKIEJ

Powieść z XVI wieku 22
osnuta na tle historycznem.

(Ciąg dalszy.)

— No, proszę, dobrodzieju mój — odezwał się pan Wincenty — ktoby się spodziewał, że te psy pogańskie tak się obłaskawić dadzą! Bogiem a prawdą jeszczem nie wiedział o tem wszystkiem co gadacie!

— Ale i teraz — mówił Janek — często gęsto ciągną całe gromady Tatarów i osiadają na Litwie i na Rusi; pełno tam jest rozmaitych beyów, murzów, ulemów, jak tam siebie nazywają i szlachta nasza pono nieźle ich przyjmuje.

— Ale bo też — rzekł Jurek — niektórzy z nich przyjmują nasze nazwiska od wsi, w których mieszkają, ba, nawet herby biorą; i w naszej chorągwi jest jeden taki, zwie się Tupalski i gdyby nie krzywe oczy i twarz dziwnie żółta, ogorzała, trudnoby było poznać, że z Mongołów pochodzi.

— O już, co to, dobrodzieju mój — krzyknął pan Wincenty — to już licha warto, żeby mi taki Tatarzyn miał się klejnotem herbowym pieczętować. Dziwno mi, że nasi miłościwi królowie na to pozwalają. Ja bym to powywieszał na gałęzi, a nie jeszcze cackał się z niemi. Królowie polscy, zwłaszcza Zygmunt Stary i Zygmunt August, okazywali wiele łaskawości Tatarom litewskim, a ci wielce się przywiązali do przybranej ojczyzny. Szlachta tylko, przez zazdrość i obawę o swój klejnot herbowy, starała się ścieśniać ich prawa.

— Ja myślę, że z tych Tatarów możnaby dobrą konnicę urządzić, co by się w wojsku naszej rzeczypospolitej przydała, bo oni pod dobrem okiem, to i bić się potrafią.

— Janku, synu mój — odezwała się pani Bohowitynowa — bardzo ciekawe to wszystko, coś nam o Tatrach prawił, ale moje dziewczęta strasznieby chciały wiedzieć, co się tam z tobą dalej działo na Krymie.

VIII.

Janek posłem. — Co to Kałga a co Nuredyn? Obietnica. — Gościna w Karazubazarze.

— Prawda, że zarówno na Kałgę, jak i na Nuredyna wybierano tylko członków panującej rodziny Girejów, ale nasz Edyga, przez żonę z rodem panującym spokrewniony, spodziewał się, że dostanie tę godność, byle kto zręcznie potrafił około tej sprawy obchodzić i podarki jego dla hana i przybocznych urzędników tegoż ofiarować w dobry sposób.

Owóż okazało się, że niewiadomo czemu, Edygabey mnie właśnie przeznaczył na posła do hana i dał mi do zrozumienia, że się mogę spodziewać wielkich nagród, jeżeli się poselstwo moje powiedzie. Kto wie, może nawet zechciałby mnie mianować swoim wezyrem bo trzeba wiedzieć, że nietylko Han i Kałga, ale nawet Nuredyn w Krymie posiada swój dwór i swego przybocznego wezyra. Widząc jednak, że te obietnice nie czynią na mnie zbyt wielkiego wrażenia, dodał, że jeżeli mi się będzie podobało, to po wyjednaniu mu pożądanej godności, mogę sobie iść, gdzie zechcę, choćby i do „psów niewiernych" — jak Tatarzy nas, chrześcijan, nazywają.

Kiedy to Tatar, jak zwykle, wymówił powoli i bełkocąc językiem, czułem, że mi krew do głowy uderza, skłoniłem się i odrzekłem, żem za taką cenę gotów nawet w morze skoczyć albo w ogień. Oburzony tym moim uporem, Tatarzyn raczył mi jeszcze tłomaczyć, że jestem ostatnim głupcem, chcąc porzucić dwór jego, gdzie mnie bogactwa i dostojeństwa czekają; wkońcu jednak obiecał, świadcząc się Koranem, że otrzymam wolność, jeżeli tylko dobrze się sprawię i przywiozę od hana pomyślną odpowiedź.

Nie było co robić, musiałem się sposobić do drogi, naradzając się pocichu z Ojcem Jackiem, który dotąd w jasyrze pozostawał. Wreszcie otrzymawszy jego błogosławieństwo, przystrojony niby z turecka w suty kaftan karmazynowy, żółte buty, z jataganem (krzywym mieczem) u pasa i w baraniej, wysokiej czapce, wyruszyłem w drogę. Za mną szły suto obładowane wielbłądy i kilkunastu zbrojnych Tatarów, z których jeden osobliwie niby stróż, na krok mnie nie odstępował. Miałem też przy sobie chłopaczka, lat dziesięciu może, któregom od Edygi wyprosił, niby do posługi, bom go wielce polubił. Jasnowłosy był, jak nasz Stasiek i także gdzieś ze szlacheckiego dworu porwany, a Leszko mu było na imię.

Tak tedy zbrojno i dworno jechałem przez Krym, niby wielki pan jaki i niezadługo stanęliśmy w Karazubazarze, na pół drogi z Kaffy do Bakczysaraju. Tam mieszkał Kałga, który miał osobne księstwo i dwór cały, a nawet radę na wzór tajnej rady sułtana tureckiego, z której pomocą sądził różne sprawy. Zresztą Kałga miał najwyższą władzę nad wojskiem, brał znaczną pensję i część podatków dla siebie, a w razie śmierci Hana tak zarządzał państwem, jak to u nas książę Prymas. Kałga też był wybierany z rodu Girejów, a wybór, przez hana dokonany, szedł do potwierdzenia przez sułtana w Carogrodzie, skąd też przysyłano dla nowego Kałgi honorowe futra i 2000 cekinów w podarku.

Gościliśmy trzy dni u Kałgi, przed którym musiałem na twarz padac, według podłego obyczaju wschodniego; zostawiłem mu sporo podarków rozmaitych, najadłem się baraniny z ryżem, popijając kobylem mlekiem, czyli kumysem i dalej w drogę, bo Bakczysaraju, hańskiej stolicy na Krymie.

IX.

Bakczysaraj. — Dwór hański. - Mengli Girej. Kto się nudzić zaczyna?

— Ciekawym też — odezwał się Jurek — jaka to może być stolica takiego barbarzyńcy? To chyba szopa z gałęzi sklecona?

— Ale gdzie tam — odparł Janek. — Tatarzy na Krymie wcale niepodobni to tych, jakimi dawniej byli. Han mieszka w pałacu z kamienia, marmurem ozdobionym, meczety tam błyszczą od złota; rozmaite przyprawy i korzenie ze Wschodu sprowadzają sobie carzyki tatarscy i naśladują, jak mogą, sułtana w Stambule, który nad nimi ma zwierzchnictwo. Kiedy han pojedzie do Carogrodu, to mu nawet wolno siedzieć w przytomności sułtana i pić z nim kawę, a w mieście przyjmują go i witają jakby prawdziwego monarchę. A co podarków mu naznoszą, to strach!

Jużto na wschodzie taki zwyczaj, że bez podarunku ani przystępuj do kogo. I tak lud znosi upominki urzędnikom i władzom, sułtan rozdaje podwładnym i znów od nich bierze. Tatarzy, co się niby to cywilizują na sposób turecki, przyjęli od Turków te zwyczaje. Han tatarski ma znaczny dochód, bierze bowiem różne cła od towarów na półwysep przywożonych, podatki rozmaite, jak „charadż", drogowe i inne. A jakie sobie tytuły nadaje!... Zowie się cesarzem tatarskim, czerkieskim i dagestańskim; używa też pieczęci ze swojem imieniem i herbem urzędowym.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Państwo Ossendowscy w Afryce.

Profesor Ossendowski wraz ze swą małżonką i resztą członków wyprawy, zwiedzali w przeciągu całego miesiąca grudnia wybrzeże Afryki, przebywając w porcie Conakry.

Święta Bożego Narodzenia spędzili nasi rodacy w Conakry, a „Pasterkę“ wysłuchali w pięknym ogrodzie klasztornym „Braci Białych“, miejscowych misjonarzy. Prof. Ossendowscy zamieszkiwali u kolonistów francuskich i byli wszędzie nader serdecznie witani przez władze i ludność.

Podróżnicy byli przyjmowani wprost entuzjastycznie, p. Zofja Ossendowska urządziła nawet koncert w Conakry, który był prawdziwym świętem dla całego miasta. To też pożegnanie naszych rodaków zamieniło się w wielką uroczystość i cała ludność miasta odprowadzała naszych podróżników.

Nowy Rok spędzili oni za to już w wiosce murzyńskiej. Podróżnicy złożyli również wizytę królowi największego szczepu murzyńskiego Fulbów, który przyjął ich bardzo serdecznie i obdarował pięknemi wyrobomi z trzciny oraz skórami małpiemi (czasy, gdy w prezencie* dawano kły słoniowe, należą już niestety do historji). Król dowiedziawszy się, że gości znakomitą skrzypaczkę, prosił, by p. Ossendowska zagrała na skrzypcach. Prośba murzyńskiego kacyka została spełniona i w jego „kazie“ przy akompanjamencie nadwornego muzyka zabrzmiały melodje polskich muzyków.

Scena ta została naturalnie sfilmowana i powiększyła bogaty zbiór fotografji i filmów, które zapowiadają się niesłychanie interesująco.

Wśród różnych przygód podróżnicy nasi przyjechali koleją i samochodem do Labe, miasta w Futa Djallow, stolicy plemienia Fulbów, a następnie w hamakach, niesionych przez murzynów, udali się w góry Futa-Djallow, aż do miasta Kurussa.

Ponieważ góry te są wzniesione o 1600 m. ponad poziomem morza, więc temperatura, dochodząca na nizinie do 28 stopni nie przekracza tam 4 stopni.

Wszyscy członkowie ekspedycji znoszą warunki klimatyczne bardzo dobrze i odbyli 18 dniową podróż w hamakach i pieszo zupełnie pomyślnie.

Należy również podkreślić, że nasza znakomita skrzypaczka, p. Z. Ossendowska jest pierwszą Polką, która odbywa tak daleką i niebezpieczną podróż w Afryce i, że po wyruszeniu z Conakry, podróżnicy odesłali większość swych bagaży do Europy, gdyż rzeczy są noszone podobnie, jak i ludzie przez t. zw. „porterów“ i są jedynie balastem, a p. Ossendowska dalszą podróż odbywa już w... stroju męskim. Zasługuje też na uwagę, że poprzedniczką jej była w roku zeszłym p. kapitanowa Delingette, która wraz ze swym mężem odbyła podróż 7-miesięczną z Colomb Bechar aż do Przylądku Dobrej Nadziei samochodami Renault.

Firmy francuskie samochodowe zaciekle rywalizują między sobą na polu wypraw samochodowych do Afryki. Podróż państwa Delingette trwała od listopada 1924 r. aż do lipca 1925 r. Trudności, jakie przeszła ta para francuzów, którzy tylko z jednym mechanikiem przejechali wzdłuż całą Afrykę, przechodzą wprost pojęcia ludzkie.

P. Ossendowska przywiezie niespodziankę — szympansa „kaskę“, która ma obecnie trzy miesiące i budzi ogólny podziw swą inteligencją, a przeznaczony będzie dla poznańskiego ogrodu zoologicznego.

Na lekcji chemji.

Profesor: Co się dzieje ze złotem, jeżeli się zostawi je na wolnem powietrzu?

(Uczeń po długim namyśle): Skradną je.

Na lekcji historji.

Nauczyciel: — Myszy zjadły Popiela... A co Popiel zrobił takiego?

Uczeń. — Dał się zjeść myszom.

Szarada.

Ułożyła Marja Płotkówna z Mikołajek.

Dwie jednakowe spółgłoski tworzą pierwsze, trzecie,
I druga wspak spółgłoska bliska w alfabecie,
A wszystko wraz związane jednej treści końcem,
Nazwie ci najbiedniejszą istotę pod słońcem.

Łamigłówka matematyczna.

Ułożył „Czerwony ułan“ z Nowegomiasta.

71								69
	92						68	
		32				67		
			44		66			
				65				
			64		86			
		63				98		
	62						38	
61								59

W kwadrat powyższy wpisać cyfry od 25 do 105, tak, ażeby wszystkie rzędy poziome i pionowe utworzyły liczbę 585.

Rozwiązanie łamigłówki z Nr. 5

1	2	3	4	5	6	7	8
K	o	l	u	m	b	i	a
a	r	u	r	i	e	r	r
l	o	a	u	s	r	a	a
k	n	l	g	o	i	w	b
u	t	a	w	u	n	a	s
t	e	b	a	r	g	d	k
a	s	a	j	i	a	i	a
7	7	7	7	7	7	7	7

nadesłali: „Baladyna“, „Biały niedźwiedź“, Albin Bielicki z Nowegomiasta, „Czarny rycerz“ ze Świecia, „Czterolistna koniczynka“ z Nowegomiasta, Bronisław Graczyk ze Świecia, Jaś Gregorkiewicz ze Świecia, Bernard Łazarewicz, „Mały urwisek“, „Słoń indyjski“ z Nowegomiasta, Jerzy Sobolewski, Leon Stobiński ze Świecia, „Wonny fjołek“ z Nowegomiasta.

Rozwiązanie zagadki z Nr. 5.

1. Paweł
2. Italja
3. Orzeł
4. Turban
5. Rodos
6. Salamandra
7. Karpiński
8. Architektura
9. Rzym
10. Ganges
11. Atlantyk

nadesłali: „Baladyna“ z Nowegomiasta, Leon Bartoszewicz ze Świecia, „Biały Niedźwiedź“, Albin Bielicki, „Bohun“, „Czterolistna koniczynka“, Al. Duszyński z Nowegomiasta, Bronisław Graczyk, Jaś Gregorkiewicz, Franciszek Kierzkowski ze Świecia, Bernard Łazarewicz, „Mały urwisek“, „Słoń indyjski“ z Nowegomiasta, Jerzy Sobolewski, Leon Stobiński ze Świecia, „Tajemniczy Dżems“ z Nowegomiasta, Antoni Tomasik z Janiej Góry pow. Świecie, „Wonny fjołek“ z Nowegomiasta.